



# Robaczku, szłaś na Wembley!

Z Andrzejem Kohytem, gospodarzem Chatki Robaczka w Szklarskiej Porębie, rozmawia Jakub Terakowski

**Skąd wziął się pseudonim „Robaczek”?**

Dostałem.

**Od kogo?**

Od kolegi, który tylko raz zwrócił się do mnie w ten sposób. Sam nie wiem dlaczego... To było w 1980 roku. On tego nie pamięta, ale ja nie zapomniałem. Przyłnąłem do tego przezwiska, spodobało mi się. Zacząłem w ten sposób mówić o sobie, a potem zwracać się tak do ludzi. Chyba nikomu to nie przeszkadza.

**A dlaczego nie „misiu”, „słoneczko” lub „żuczku”?**

Bo to zbyt banalne. „Robaczek” jest pogodny, życzliwy, niezobowiązujący, zmniejsza dystans. Goście też zwracają się do mnie w ten sposób. Ta swoboda jest w górach bezcenna.

**Jak zatem trafiłeś w góry, Robaczku?**

Urodziłem się w Cieplicach, ale przez wiele lat góry w ogóle mnie nie interesowały. Skończyłem szkołę, poszedłem do pracy. Mój zakład organizował spartakiady. Wystartowałem w biegu przełajowym i od razu wygrałem. Zauważyli mnie lokalni działacze sportowi, namówili do trenowania i zacząłem biegać.

**Po górach?**

Wtedy jeszcze nie. Pierwszy był maraton. Pokonałem cały dystans w niecałe trzy godziny. Nieźle, jak na debiutanta, prawda?

**Imponująco!**

Po jakimś czasie, z myślą o poprawie kondycji, wybrałem się w góry. Kupiłem mapę, wyznaczyłem trasę, poszedłem, zabiłdłem, znalazłem drogę, znowu zgubiłem... Spodobało mi się... Skończyłem kurs znakarzy szlaków turystycznych i przez 12 lat wędrowałem po górach z pędzlem. Nie zaniedbywałem też sportu. W 1991 roku byłem reprezentantem Polski w Pucharze Świata w Biegach Górskich. I na tym, z powodu choroby, zakończyłem karierę. Mój trener, Marian Michalski, powiedział, że zdrowie jest ważniejsze od wyników.

**Trudno nie przyznać mu racji.**

Też mu ją przyznałem, więc zacząłem rozglądać się za swoim miejscem na ziemi – to znaczy w górach. Pracowałem jako wolontariusz w kilku schroniskach; poznałem je od zaplecza. Bardzo mi się to później przydało, bo gdy na przykład ogień i tak pali się pod płytą kuchennego pieca, to czemu nie postawić na nim przy okazji 30 litrów wody? To nic dodatkowo nie kosztuje, a może się przydać, gdy do schroniska wpadnie duża grupa. Terminowałem za kąpiel i miskę strawy. Przełom nastąpił 2 lutego 1995 roku. Koleżanka powiedziała wtedy do mnie: „Ty durny jesteś, pomagasz innym za darmo, zamiast kupić sobie jakąś

starą chałupę i otworzyć w niej schronisko”. Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. W marcu zacząłem szukać domu. Obejrzałem niejednego, lecz wróciłem do tego, który zobaczyłem jako pierwszy.

**Co o tym zdecydowało?**

Pieniądze. Był najtańszy. Ledwie stał, ale stał. Zrujnowany, zawilgocony... Bardzo stary – ma 250 lat. Blachę na dachu położono w roku 1910. Pracowałem jeszcze wówczas w Cieplicach, więc po fajrancie wsiadałem na rower, przyjeżdżałem tu, skuwałem ściany i po północy wracałem do domu. Ale już w lipcu przeprowadziłem się tutaj, aby chronić chałupę i otworzyć w niej schronisko”.

Nikt bowiem nie zaglądał do środka, dopóki stała pułta, lecz moja obecność zwróciła uwagę i resztki dobytku zaczęły zniknąć niepostrzeżenie. Nie miałem tu jeszcze wtedy prądu, wody, szamba. Szambo skończyłem zamykać 30 października, a nazajutrz spadł śnieg i leżał już do wiosny. Los mi sprzyjał.

**Aż trudno sobie wyobrazić, że z rudery mógł powstać taki piękny dom.**

Do dnia zakupu byłem niepoprawnym pesymistą, od tego dnia jestem optymistą. Wszystkie frustracje zniknęły bez śladu. Nie miałem ani chwili zwątpienia. Nigdy nie żałowałem ani się nie zastanawiałem, po co to zrobiłem.

**No właśnie, po co to zrobiłeś?**

Z myślą o własnym schronisku. I od razu pojawili się pierwsi goście, sam nie wiem skąd. Biwakowali na zewnątrz już w czasach, gdy do środka nikt poza mną nie miał odwagi wejść, bo strop groził zawaleniem. W roku 1998 sprzedałem mieszkanie i klamka zapadła. Wszystko zainwestowałem w chatkę. Zrobiłem łazienkę, wyremontowałem dwa pokoje, kuchnię, jadalnię i korytarz. Dom zaczął tętnić życiem.

**Ile osób może tu teraz przenocować?**

Mam 18 miejsc. Sypialnie są nieduże, bo sercem chatki jest 40-metrowa jadalnia. Nie ma tu – jak widzisz – ani telewizora, ani radia. Działa tylko sieć bezprzewodowa, gdyż moi goście za dnia często wędrują lub jeżdżą na nartach, a wieczorami pracują. „Klan” nie jest im więc tutaj potrzebny, lecz internet owszem. Za moich czasów w schroniskach nie było szklanych ekranów, radio szmerło tylko na recepcji, a ludzie rozmawiali ze sobą. Jeżeli dzwoni do mnie ktoś, komu do szczęścia niezbędna jest własna dwójka z satelitą i prysznicem, to wskazuję inny adres. Nie prowadzę też rezerwacji noclegów on-line, bo z mojego przykrego

doświadczenia wynika, że goście nie traktują ich poważnie.

**Jadalnię od kuchni dzieli tu tylko kontuar.**

Dzieli? Wręcz przeciwnie – łączą! Specjalnie przebiłem ścianę, aby nie izolować się od gości. Jestem tutaj dla nich, przyjmuję ich dla przyjemności, a nie dla pieniędzy. Gdybym tylko mógł, to nie inkasowałbym ani grosza, ale nie mam wyjścia – muszę utrzymać chatkę. Żyję tym domem, a przy okazji dzięki niemu. Najcenniejszą walutą w Chatce Robaczka jest uśmiech. Żyję z ludźmi, a nie obok nich, za ścianą. Nie lubię schronisk, w których w okienku widać tylko brzuch gospodarza. Każdy tutaj mógłby nocą okraść kuchnię, lecz jeszcze nigdy nic nie zginęło. A wiesz, robaczku, dlaczego? Bo najbardziej kusi owoc zakazany, a tu ich nie ma.

**Ta kuchnia jest prywatna?**

Tak, moja. Turyści mają drugą. Jest w niej gaz, woda, sztućce, kubki, talerze, małe garnki. Tylko duże muszą mieć własne, bo zniszczyli już wszystkie.

**Jak można zniszczyć garnek?**

Najprościej? Przypalając. Może nie uwierzysz, robaczku, ale wśród moich gości ▶



FOT. DOMINIKA PODOBA



FOT. MICHAŁ KROTOPIŁ

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

byli i tacy, którzy nie wiedzieli, że do gotowania makaronu potrzebna jest woda... (śmiech).

**Posiłków tu nie serwujesz?**

Nie, gastronomii nie prowadzę. Dawniej dużo piekłem; to mój żywioł, cieszę się, gdy moje ciasta smakują. Przez 13 lat każdego turystę witałem kawałkiem placka.

**Za darmo?**

Oczywiście. Z przykrością musiałem jednak zrezygnować, bo nie stać mnie na taką filantropię. Nadal piekę, ale już dużo mniej. Na święta przygotowałem tylko 10 blach, wyłącznie dla znajomych. Moje spécialité de la maison to jagodo-

To jedyna odmiana jabłek, która nie ciemnieje. Raz pewna turystka przed skosztowaniem pomyliła mój jabłecznik z sernikiem, bo taki jest jasny. Piekę też chleb dla specjalnych gości.

**A czy zdarza się, że to do Ciebie ktoś przychodzi z ciastem?**

Rzadko. Stanowczo zbyt rzadko... Szkoda, bo bardzo lubię placki, nie tylko swoje.

**I jak oceniasz wypieki turystów?**

Zazwyczaj są zbyt słodkie. Z cukrem nie należy przesadzać. Ciasto powinno smakować tak, aby po zjedzeniu jednego kawałka czuć ochotę na następny, a nie mdłości...

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa  
 aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa  
 aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

we według własnego przepisu. Lepsze ja dłem tylko na Hali Boraczej, szał na Wembley!

**Szał na Wembley? To jego nazwa?**

Nie, ale wywołuje taki entuzjazm jak bramka strzelona przez Domarskiego... (śmiech). Przykryte ściereczką może stać w kuchni przez tydzień i nie traci świeżości. A wiesz dlaczego, robaczku? Bo wybieram składniki najlepszej jakości. Nie używam podłych margaryn, nie kupuję poobijanych jabłek. I nikt mi nie wmówi, że szara reneta jest lepsza od championa.

To dość lekkomyślna strategia, jak na osobę, która swoimi wypiekami częstowała gratis.

Dlaczego? Przecież następnym kawałkiem częstowałem przy kolejnej okazji; wystarczyło więc przyjść tutaj ponownie, aby dostać następną porcję.

**A kto najczęściej odwiedza Chatkę Robaczka?**

Trudno powiedzieć. Zimą narciarze, latem turyści piesi oraz rowerzyści. Studenci, rodziny z dziećmi, emeryci, grupy oazowe – specjalnie dla nich postawiłem kapliczkę na zapleczu domu. Wielu jest starych bywalców. Łatwiej chyba powie-

dzieć, kto tu już nie przychodzi: ludzie, którym zależy przede wszystkim na hałaśliwych, nocnych balangach. Nie zgadzam się na to, aby turyści przeszkadzali sobie nawzajem; chcę, aby każdy mógł u mnie dobrze odpocząć. Największy ruch jest tu zimą, bo w pobliżu prowadzi kilka tras biegówkowych. Wiosną i jesienią całymi dniami nie zagląda tu nikt.

**Nie próbujesz organizować tu wtedy jakichś imprez?**

Spróbowałem raz, ale zainteresowanie było znikome. Zaprosiłem znajomego. Pokazał doskonale zdjęcia, świetnie opowiadał o swoich wędrówkach. A wszystko to dla kilku osób.

**Ogień na kominku płonie tu zimą zawsze, tak jak teraz, pomimo braku gości?**

Zawsze, kominek ogrzewa cały dom i tworzy dobrą atmosferę.

**A dlaczego prysznic jest u Ciebie płatny?**

Bo zagranie wody kosztuje. Mógłbym rzecz jasna – jak w innych schroniskach – wliczyć te dwa złote w cenę noclegu, ale nie chcę windować jej ponad miarę. Wystarczy, że muszę doliczyć takse klimatyczną. Poza tym opłata jest dobrowolna, nie zamykam prysznic na klucz i nie siedzę ze skarbonką pod drzwiami.

**Nie zauważyłem w pokojach pościeli...**

Mam kilka kompletów, ale własne śpiwory są mile widziane, ponieważ ciężko mi tu zrobić większe pranie.

**Sam prowadzisz Chatkę Robaczka?**

Sam, tylko czasem pomaga mi siostra.

**Trudno ostatnio się z Tobą umówić... Raz, gdy zadzwoniłem, byłeś w szpitalu, następnym razem w sanatorium.**

Mam astmę oskrzelową. Trzymam ją w ryzach i vice versa: muszę złapać oddech po kilku wejściach na drugie piętro chatki. Nie mogę już też sam narąbać drewna na opał i ścieżki jak gdyby coraz bardziej strome mi się zdają...

**Masz swoje ulubione miejsce w Górach Izerskich?**

Tak, baczówkę na Rycerzowej i Chatę na Cyrli... (śmiech).

**Gdzie? Na Cyrli? Przecież to w Beskidzie Sądeckim.**

Zgadza się. U Ireny i Jacka Świcarzów – to moi serdeczni przyjaciele. Doskonale czuję się u nich i świetnie tam odpoczywam. Po prostu szał na Wembley! Higiena psychiczna człowieka, który na co dzień obsługuje innych, wymaga od czasu do czasu zmiany relacji. Nie ucieczki od ludzi, lecz zamiany ról: z gospodarza w gościa. ■